

V – Otwarte karty

*/Posiedzenie senackiej komisji ds. tajnych służb,
Nowe Patras, 12. 10. 63 r./*

Vera Hagenkreutz uniosła prawą brew, na usta przywołała delikatny uśmiech, cmoknęła w myślach – brunet przygotowujący się do przemowy przed komisją wyglądał apetycznie; ciemna karnacja, gustownie użyta pomada i wystające kości policzkowe – ach jakże zmysłowe. Prawie pomyliła się stukając w klawiaturę rejestratora. „Agencie specjalny, Brionie Kroegerze, witaj...”.

Damien Ber Kessel, młodszy mówca senacki, aktualny „mężczyzna” Very, przy południowcu wydawał się „banalny”. Był chudszy, płowowłosy, wysoki co prawda, ale jakiś taki zwykły – bez tej władczości i niewypowiedzianej tajemnicy w oczach. Banalny, ale bogaty, wpływowy i bardzo ambitny. Przy jego boku Vera miała szansę na prawdziwą karierę w senackim biurze. A czego bardziej mogłaby pragnąć kobieta? Co zapewniłoby jej stabilizację, dostatnie życie, szansę na założenie rodziny i wychowanie dzieci? Damien Ber Kessel, z konieczności, był tym jedynym. Na ten moment, rzecz jasna... „Dziewczyna musi wietrzyć swą szansę, stale trzymać rękę na pulsie, winna być przygotowana”.

Damien wprowadzał wysokiego mówcę w tematykę, referował treści, poprzedzając przesłuchanie agenta Kroegera. Vera wbijała kolejne litery. Stukot rejestratora niósł się metalicznym dźwiękiem po obitej drewnem sali, idealnie współgrał z męskim głosem.

– Jak wspominałem na wstępie, pominiemy czasy Czarnej Wojny, zwane na potrzeby naszego dochodzenia „Fazą Pierwszą”. Jeśli zaszłaby jednak potrzeba odniesienia się doń, wezwiemy specjalistę. – Damien spojrzał na wysokiego mówcę, mężczyznę o nalanej twarzy, wbitego w czarny garnitur, przepasany czerwoną, senacką szarfą. Wysoki mówca jednak nie zaszczycił podwładnego nawet spojrzeniem. Damien kontynuował niewzruszony:

– Pierwsze faktyczne zetknięcie się ze zjawiskiem będącym obiektem dzisiejszego przesłuchania, tak zwanymi Zamaskowanymi, notujemy na drugi dzień, dziesiątego miesiąca, sześćdziesiątego roku. Wcześniej, od letnich miesięcy pięćdziesiątego dziewiątego, zbierane były doniesienia, plotki, informacje i domysły... Armia posiadała pewną wiedzę, ale

postanowiła się nią nie dzielić. – Damien uniósł podbródek. – Tym aspektem zajmuje się równoległe dochodzenie. Wracając do sedna – Agencja Bezpieczeństwa, już na początku, powołała tajną grupę śledczo-analityczną, dowodzoną przez agenta specjalnego Maxa Lidhmana. Zebrano obszerną dokumentację, zwracając uwagę zwłaszcza na wydarzenie nazwane później „atakem Alchemika”.

/Błękitna Wieża Blake’a, Memoria, 13.09.59 r./

Dolores Chatterbuck próbowała zapalić papierosa trzęsącymi się dłońmi. Wszystko było nie tak. Zapalniczka nie chciała skrzesać ognia, cienki papieros nie pasował do lufki, wiał zimny, przejmujący do szpiku kości wiatr, a głośnik zawieszony gdzieś u góry wypluwał z siebie komunikat za komunikatem.

„Do diaska, czemu spotyka to mnie?”, spytała w głębi ducha. „Przecież on... ten przeklęty Bern nawet nie raczył wyjaśnić... Po prostu wyjechał”.

Pociągnęła nosem. Poprawiła miękki szalik i sięgnęła do kieszeni pałta. Razem z chusteczką wyjęła piórko. Zmarszczyła brwi.

„Niby jakim cudem?”.

Obejrzała znalezisko – maleńkie, białe i puszyste. Zastanowiła się, wodząc wzrokiem po okolicy. Zmierzchało, ostatnia jasność dnia majaczyła gdzieś pomiędzy wieżowcami. Ponad głową Dolores schodził do lądowania oczekiwany sterowiec – duży, szarobłękitny *Aard Hummel*, maszyna nowego typu.

„Ekskluzywny środek transportu”, przypomniała sobie reklamowy slogan.

Skrzywiła usta w gniewnym grymasie.

„Chrzanić sterowce, podróże i chrzanić Bernarda Bonneta, razem z jego cholernym dyrektorskim stołkiem w dziale transportu”, zadrwiła w duchu i znów ujrzała okiem wyobraźni gigantyczną reklamę na drapaczu chmur. „W *Kettler-Droome* – największej korporacji jaką zna współczesna Vendaria”.

„Chrzanić”.

Błysnęło. Niebo zapłonęło, ciemne chmury rozstały się, jakby jakiś gigantyczny stwór rozdrapał czerń ognistym pazurem – wybuch rozerwał kadłub sterowca. Zrobiło się niezwykle gorąco, cały dach zalało światło, jak

za dnia. I ten podmuch. Dolores nie zdołała utrzymać się na nogach. Pęd szarpnął jej ciałem, rozchełstał paltó, porwał szaliczek. Poleciała. Z przerażeniem w oczach patrzyła na mijaną barierkę, krawędź dachu, rynny i jakieś szare konstrukcje. Pod nią była otchłań, dziesiątki pięter do ziemi, do twardego asfaltu, do kamiennych płyt trotuaru.

Spadała moment, dłuższą chwilę, przez wieczność. Zamykała i otwierała oczy. W końcu znieruchomiała. Coś gryzło ją w nosie, swędziało, delikatnie łaskotało po twarzy. Rozejrzała się. Odruchowo dmuchnęła, wysuwając dolną szczękę w przód. Biel unosiła się wokół niej, wirowała. Ktoś krzyczał, a w górze, bardzo daleko w górze, rosła kula ognia, pochłaniając dach wieżowca.

Jakiś mężczyzna pomógł jej wstać, inny pytał:

– Czy nic się pani nie stało?

Przecierała oczy. Ktoś mówił podniesionym głosem, z niedowierzaniem:

– Z góry?

„Biel. Do diaska”.

– Z samej góry? To niemożliwe...

Biel powoli się rozwiewała, wiatr zabierał drobinki, gnał je między kłębiących się ludzi, pomiędzy samochody.

– Nie jest ranna?

Dolores przytrzymała się ramienia jednego z mężczyzn.

– Nie ma ani jednego zadrapania, to niebywałe.

Poczuła się dziwnie zmęczona. Powieki jej opadały, nogi były jak z waty. Nim zemdlała, usłyszała jeszcze niski głos jakiejś kobiety:

– I co, do cholery, robi tutaj to całe pierze?

„Piórko, o do diaska”.

***/Posiedzenie komisji senackiej ds. tajnych służb,
Nowe Patras, 12. 10. 63 r./***

Vera próbowała sobie przypomnieć nazwisko wysokiego mówcy, ale jakoś nie potrafiła. Wiedziała, że w ostatniej chwili dokonano zmiany. Przesłuchanie miał prowadzić siwy Gettard Den Mulisch, stało się jednak inaczej. Zresztą, cóż tam mówca, myśli Very, tak po prawdzie, zamiast na sprawach senackich, koncentrowały się na Brionie Kroegerze. Agent

specjalny słucał wprowadzenia z uwagą, zachowując nieodgadniony wyraz twarzy.

- Alchemikiem był, jak później ustalono, człowiek znany jako Ansegar. - Damien zrobił przerwę i dorzucił poboczną uwagę: - Imię i w ogóle większość danych związanych z tożsamością tego anarchisty nadal pozostaje dla nas tajemnicą... Alchemik zdołał doprowadzić do sześciu jednoczesnych wybuchów, do zamachów na liniowe sterowce. Ciało Ansegara znaleziono kilka dni później, na pokładzie sangoryjskiego drobnicowca, zacumowanego w północnym porcie. Statek został doszczętnie spalony. Pierwotnie podejrzewano, że przygotowując kolejne ładunki, przestępca popełnił błąd i doprowadził do swojej śmierci. Okazało się, że prawda była o wiele bardziej złożona...

***/Pokład „Sangoria Mandrie”, port północny,
Memoria, 17. 09. 59 r./***

„Pan Płomieni, nasz ognisty zbawca nie zdołał przewidzieć tego, co następuje”, pomyślał Thibaut Sangare, gdy Czarty przypuściły atak. Teraz był świadom: „On miał być niszczycielem, odnawiać świat w Wiecznych Płomieniach. Ale to Oni stali się zagładą”.

Dumny syn sangoryjskiej rebelii ugiął potrzaskane kolana, broczył krwią, w dłoniach zaciskając kołtuny wyrwane z głowy. Patrzył jak proroctwo nikło, jak świat, w który tak mocno wierzył, obracał się wniwecz.

„Diabły”. Odziani w jednolite, niby strażnicze uniformy, w czarnych kominiarkach na twarzach, z oczami ukrytymi pod lotniczymi okularami. Ale nie byli reprezentantami władzy. Służyli innemu wrogowi, o wiele groźniejszemu, i władali Magią. Miast walczyć z vendaryjską machiną, zaatakowali dziecięta rewolucji - Thibaut nie potrafił tego pojąć.

Cały główny pokład trawiły płomienie. Pan Płomieni rzucił przeciw Czartom wszystko co posiadał, rozpętał piekło. Ale to ich nie powstrzymało. Jeden z wrogów dzierżył tarczę, zasłaniał się nią i ciął ostrymi krawędziami ciało, kości i stal. Przedarł się przez Najwierniejszych - zadał im śmierć. Inny, potrafiący ściągać z nieba pioruny, trafił samego Pana, nim ten zabarykadował się w sterówce.

Thibaut próbował ich rozdzielić, odciągnąć, zająć walką. Na próżno. Czart noszący rękawice, błyskające przy uderzeniach, zabił Belaya, Papę Yigrema i zdołał rozszarpać żelazne drzwi prowadzące na dolny pokład. Wtedy też połamał kości Thibauta, coś tam wewnątrz pękło, teraz kłuło przy oddechu...

Pośród płomieni pojawił się kolejny, zupełnie nieznamy. Kroczył spokojnie, nierealnie, jakby nie rejestrował tego, co dzieje się dookoła. W prawej dłoni trzymał krótki kij z przyczepioną doń łańcuchem, potężną, żelazną kulą, wleczoną po pokładzie. Kula jarzyła się światłem... Ale to nie był ogień.

Thibaut z ogromnym wysiłkiem uniósł strzelbę i wymierzył. Szarpnęło przy wystrzale. Spudłował, ale Czart nawet nie zwrócił na to uwagi. Zamachnął się.

Kula śmignęła, w locie rozmyła się, zmieniając w strumień światła. Zieleń, biel i żółć... Uderzenie zmiotło z ust najwyższego kapłana i przywódcy jego rewolucyjnej armii ostatnią modlitwę do Pana Płomieni...

***/Posiedzenie komisji senackiej ds. tajnych służb,
Nowe Patras, 12. 10. 63 r./***

– Brakuje nam jednoznacznego potwierdzenia – Damien pokręcił głową – ale Agencja jest zdania, że właśnie wtedy, w porcie, Zamaskowani przeszli swój bojowy „chrzest”. Przygotowaliśmy szczegółowe pytania odnośnie sprawy „Alchemika”, agent specjalny Kroeger będzie miał okazję się wykazać...

Vera dostrzegła grymas na ustach Briona Kroegera, wszak wnikliwie obserwowała jego twarz. Zmarszczyła brwi, dzielając zdanie agenta. Uwaga Damiena, to ostatnie zdanie, była zdecydowanie nie na miejscu.

„Prostak”, pomyślała o swoim „mężczyźnie” i westchnęła, zdając sobie sprawę z faktu, w jak bezsensownym położeniu się znalazła. Damien był zwyczajnym draniem, bezczelnie wykorzystującym posiadane stanowisko i chwilową sytuację. Ale kariera, którą umożliwiło jego towarzystwo...

Vera nakazała sobie milczenie.

- Mniej więcej w tym okresie zrobiło się głośno o sprawie niejakiego „Cienia”, z którą powiązano Zamaskowanych – głos Damiena niósł się po sali. – O to też zamierzamy...

- Dosyć – warknął niespodziewanie wysoki mówca. Vera poczuła delikatne igiełki strachu, spojrzała na gęsią skórę na przedramionach. Ten dźwięk... Wysoki mówca mówił ochryplym, odpychającym głosem i jakże złowrogim tonem. Damien poczerwieniał, usłużnie skinął głową i wycofał się na swoje miejsce. Mównica była pusta.

- Chcemy wiedzieć – burknął wysoki mówca – co było u początków... Bez tej genezy, każde słowo wypowiedziane na interesujący nas temat mogłoby zostać zamienione w pył, wszak bez świadomości człowiek jest niczym...

Agent Kroeger przekrzywił głowę i przyjrzał się mówcy, później powiódł wzrokiem po trzech pozostałych członkach komisji. Milczał.

- Co wiemy o ich mentorze, herszcie czy jakkolwiek możemy nazwać owego osobnika? Bo samo istnienie kogoś takiego jest pewnikiem... Mylimy się?

Wysoki mówca spojrzał pytająco.

- Ależ nie – odezwał się Brion Kroeger, wstając ze swojego miejsca – ma pan rację. Oznaczyliśmy go jako „Obiekt Zero”, a oni używają miana: „Burzomysł”.

/Rezydencja Rogera Blake’a, Memoria, latem 59 r./

- A tę – Roger Blake wykonał zamaszysty gest i dokończył niskim głosem – zwiemy Komnatą Tarczowników.

Roderick wydał policzki, chcąc rzucić jakąś uwagę w stylu: „I niby czemu miałyby mnie to choć trochę interesować”. Powstrzymał się jednak i rzekł:

- Hm. Robi wrażenie...

Blake pochylił siwą głowę i spojrzał na młodzieńca spod na wpół przymkniętych powiek; po ustach starca błąkał się delikatny uśmiech.

- Doprawdy... – ciągnął Roderick, starając się zabrzmieć jak najszczerzej. Tak właściwie, sala mogłaby wywołać podziw każdego oglądającego. Była monumentalna. Wysoki, zdobiony strop, pokryte drewnem ściany, ciemna kamienna podłoga. I tarcze. Dziesiątki, a może

setki tarcz. Różnorodne w kształcie – od idealnie okrągłych, poprzez owalne, prostokątne, po te najbardziej znane, posiadające szpiczaste zakończenie i przypominające wydłużone trójkąty. Były i fantazyjne, wymyślne, o nieregularnych bokach. Tarcze. Ściany były nimi obwieszane. – Niezwykłe...

– Zaiste, to nie jest zwykła komnata. To izba tajemnic.

Tym razem Roderick nie zdołał ukryć rozbawienia i niedowierzania. Gdy zdał sobie z tego sprawę, poczerwieniał lekko. Nie było jednak karcącego wzroku, żadnego komentarza ze strony starca. Blake zamyślił się.

– Twoje imię, dawne imię...

Młodzieniec pokiwał głową. „No tak”, rzucił w myślach, „przecież teraz nie jestem już Roderickiem. Nie wolno mi o tym zapominać. Roderick Noakes nie żyje”.

– To imię o wielkiej potędze. Jakaż szkoda, że nie mogłeś go zatrzymać. – Blake posmutniał. – Było wielu tego imienia, pośród Tarczowników. Nadawano je często narbońskim i nezańskim rycerzom, także wybitni gwardziści, strażnicy, czatownicy byli nim obdarowywani. Chociaż... – Blake pojaśniał na twarzy – co z radością przyznaję, Vincent to równie ważne imię. Niejeden czarodziej... Ale miałem nie o tym.

Roderick westchnął. „Vincent – czarodziej, wprost wyśmienicie”. Roger Blake, posiadacz największej fortuny w Północnym Dystrykcie, w tym drugiej co do wielkości korporacji w samej Memorii, musiał mieć jakieś dziwactwa. Zamiłowanie do bajd i legend, oto jedno z nich. „Przynajmniej, a nietrudno sobie wyobrazić, że mogło być gorzej, to niegroźne dziwactwo”.

– Wspominałem o komnacie – kontynuował Blake, a jego niski głos niósł się po sali – o tajemnicach i potędze, o mocy imion. Powiniennem ci rzec o mocy tarcz. Bo tarcze nie są zwykłymi częściami oręża. O, nie...

Starzec podszedł do masywnego stołu, ustawionego pośrodku pomieszczenia. Na nierównym drewnianym blacie spoczywała okrągła tarcza. Blake podniósł ją, jakby z czcią, mrużąc coś pod nosem. Roderick zmarszczył brwi.

– Vincencie. Myślę, że będzie dobrze, jeśli ją założysz.

Roderick skrzywił się. Spojrzał pytająco.

– Powinieneś sam wybrać jedną – rzekł Blake – ale raz, że nie mamy czasu na rytuały, a dwa, tak z całą pewnością będzie ciekawiej...

Roderick pokręcił głową, nie rozumiejąc, co się dzieje. Starzec wręczył mu tarczę, trzymając ją za brzegi. Wewnątrz, na spodniej części, umocowano skórzany uchwyt.

– Pasuje – roześmiał się Blake. – No widzisz, a ja się martwiłem. – Głośno klasnął w dłonie. Trzykrotnie. Gdzieś skrzypnęły drzwi.

W komnacie pojawili się mężczyźni. Czterej rośli ludzie, ubrani w wykwitne białe koszule z zakasanyimi rękawami, zdobione kamizelki, ciemne spodnie i wypolerowane wizytowe buty, zaczęli krążyć dookoła środka sali. Blake rażno przemaszerował między dwoma z nich i zatrzymał się w drzwiach, przez które wcześniej wszedł z Roderickiem. Młodzieniec został sam.

Nieznajomi trzymali broń, jakieś długie ostrza. Ich twarze były jakby wykute z kamienia, jasne, nieprzeniknione, spokojne, pozbawione wyrazu. Roderick poczuł strach. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś głupi żart, ot kolejne dziwactwo Blake'a. Teraz bał się naprawdę.

Roger Blake złapał uchwyty na drzwiach i, powoli zamykając za sobą obydwie skrzydła, wycofywał się z sali, mówiąc:

– Panowie, ten młody, jasnowłosy człowiek to Vincent Blake, długo niewidziany w tych zacnych progach członek naszego rodu. Kto zdoła go zabić, otrzyma nagrodę. Będzie imponująca, a znacie mnie i wiecie, że w przypadku ważnych spraw nie bywam skąpy.

Roderick zbladł. Zabójcy obserwowali go bacznie, wysłuchując poleceń. Co najmniej dwaj z nich do pasków u spodni przymocowali kabury z bronią palną.

– Vincencie, mój drogi, nie przynieś mi wstydu. Bądź tak miły i nie daj się zabić. To proste. By przeżyć, stań się Tarczownikiem.

Liczby. Układy. Pozycje. Przyczyny i skutki. Zależności. Roderick nareszcie pojął to jako całość. Choć może winien nazywać samego siebie „Vinceniem”? Właśnie teraz, gdy wszystko nabrało sensu, kwestie dotyczące imion, stawały się częścią układanki.

„Jeden”, „cztery” i „osiem”.

Zawsze kochał liczby, rozumiał je, trwał dzięki nim. Im zawdzięczał wszystko. Układy i pozycje utorowały mu drogę do sukcesu. Przyczyny i

skutki były nieodłączną składową jego pracy, a zależności od zawsze stanowiły sedno.

Czas zwolnił, oddech Rodericka... nie... oddech Vincenta słycać było niczym basowy pomruk, rozciągnięty w nieskończoności.

Po raz pierwszy usłyszał głos, więc nazwał ten moment „jedyką”. Głos nie brzmiał, po prostu zakołatał mu wewnątrz czaszki: „Oddychaj”.

Wciągnął powietrze w płuca, gdy spadł pierwszy cios. Długie ostrze chrupnęło o metalową krawędź drewnianej tarczy. Paski umocowane wewnątrz wpiły się Vincentowi w przedramię. Drugi z zabójców doskoczył od tyłu i zamierzył się.

„Obrót”, zasyczał głos wewnątrz czaszki. „Dwójka”. Więc odwrócił się bokiem, zacisnął zęby i lekko ugiął nogi. Cios wyprowadzony od boku wlaź w tarczę, głęboko, jakby metalowa obręcz na krawędzi nie istniała. Ale ostrze uwięzło w drewnie, tuż przy żelaznym „krążku”, pośrodku. „Obrót”. Vincent przekręcił tarczę, wrywając przeciwnikowi broń.

Przy „trójce” padła kolejna myśl: „Pchnij”. Tarcza zaśniła błękitem, ale Vincent ledwo to dostrzegł, zrzucił ten obraz gdzieś na dno świadomości. Pchnął. Staranował jednego z zabójców, unikając kolejnego cięcia. Pchnięty mężczyzna jęknął i zaklął, w powietrzu rozszedł się brzydki zapach. Ostry i drażniący. Zaskwierczało.

„Cztery”. „Obrót i góra”. Vincent kątem oka dostrzegł błysk miecza. Żelazo przecinało powietrze, powoli i systematycznie. Z góry ku dołowi. Nie było możliwości uniknąć tego ataku. Nie istniała żadna szansa, by zdążyć zasłonić się tarczą. Więc tarcza pojawiła się na jego lewym przedramieniu, w jednej chwili znikając z prawego. Poczł ból, gdy paski werznięły mu się w skórę. Łupnęło, aż zadzwoniły mu zęby, gdy przyjął cios.

„Wymach” oznaczył „piątką”. Zatoczył lewą ręką szeroki łuk, po drodze odbijając kolejny cios. Wtedy skrzesły się iskry, gdyż tarcza stała się w pełni metalowa. Nieznośny smród jeszcze się nasilił. Kończąc łuk trafił jednego z zabójców brzegiem tarczy, samą krawędzią, ostrą jak brzytwa. Vincent ciął w szyję, jakby dzierzył jakieś ostrze. Trafiony zwinął się w śmiertelnym piruecie, a jego krew, karminowym warkoczem, rozciągnęła się w powietrzu.

„Sześć”. Głos zamilkł. Czas przyspieszył, lecz wszyscy w komnacie trwali w bezruchu. Na twarzach dwóch stojących przeciwników pojawiły się emocje. Wątpliwości. Zmieszanie. Obawa? Vincent odszukał wzrokiem leżących. Jeden wił się w konwulsjach, usiłując obiema rękami zatamować

krwawienie z głębokiej jak sto Piekieł rany na szyi, drugi dygotał, leżąc na wznak. Gryzący swąd dochodził od niego. Na piersi, w miejscu gdzie dotknęła go tarcza, widniały wypalone rany, poczerńnięte i, Vincent był pewien, śmiertelne jak cholera.

„Siedem”. „Dystans”, zabrzmiał głos wewnątrz czaszki Vincenta. Obydwaj zabójcy wyszarpali z kabur pistolety, jakieś ciężkie rewolwery. Czas zwolnił raz jeszcze. Paski na przedramieniu poluzowały się, gdy Vincent machnął ręką. Błyszcząca błękitem i zielenią tarcza była teraz niczym wirujący z ogromną prędkością dysk. Zabójca po lewej zdołał unieść broń. Tarcza urwała mu górną część czaszki, nieco ponad oczami.

Drugi, pewnie trzymając rewolwer oburącz, wystrzelił. Huk zagrzmiął basem wibrującym wewnątrz całego pomieszczenia.

„Zastona” była „ósemką”. Jakżeby inaczej. Koniec końców, tarcza służy do tego właśnie. Pierwsza kula drasnęła Vincenta w prawe ramię, którym odruchowo się zastonił, druga przeleciała gdzieś poniżej, trzecia puknęła w środek. Dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk. Vincent znał go z filmów, w których koloniści ścierali się z lumickimi plemionami. Kule świstały tu i tam, a od czasu do czasu brzmiał ten dźwięk. Wysoki i jękliwy ton – rykoszet.

Na prawym ramieniu Vincenta lśniła mała, okrągła tarcza, umocowana grubym paskiem, cała z metalu. Na jej środku widniało maleńkie wgłębienie, które właśnie w tej chwili zanikało. Ostatni z zabójców stęknął. Nim padł na podłogę, jego ciało obróciło się w powolnym, makabrycznym piruecie, ukazując małą dziurę pomiędzy brwiami i ogromny, krwawy, ziejący z tyłu głowy, otwór.

Vincent odetchnął. Głośno, mocno i pełną piersią. Czuł kropelki potu na czole, ramię pulsowało mu bólem.

Liczby.

„Jeden”, bo został rzucony do walki w osamotnieniu. „Cztery”, bo tylu dano mu przeciwników. „Osiem”, bo tyle ruchów musiał wykonać.

Liczby. Układy. Pozycje. Przyczyny i skutki. Zależności. Rozumiał wszystko. To był dopiero początek. Wiedział jednak, że chcąc nie chcąc, stawał się Tarczownikiem.

*/Posiedzenie komisji senackiej ds. tajnych służb,
Nowe Patras 12. 10. 63 r./*

Vera przeglądała dokumentację, starając się odnaleźć nazwisko. Jednocześnie wstukiwała słyszane słowa, mimowolnie krzywiąc się na ich dźwięk. Jakiż straszny człowiek. Wtem znalazła: „Laurent Biehl, wysoki mówca z Karminowego Stronnictwa”. Wiedza ta, jednak, nie przyniosła jej ulgi – nadal czuła się nieswojo; obszerna sala jakby się skurczyła, światło zmieniło swoją barwę. Przypomniała sobie jedną z radiowych audycji Camerona Gunna, o „Strachu, któremu oddawano cześć przed Wojną”. W tej właśnie chwili była skłonna uwierzyć, że takowe bóstwo istniało – praktycznie czuła jego obecność.

– Zebrał ich i szkolił, twierdzicie. – Głos wysokiego mówcy niósł się w przestrzeni, wibrował. – Ustaliliście dlaczego? Co jest sednem? Motywem?

– Z całym szacunkiem, szanowny panie – odpowiedział Kroeger – ale to nadzwyczaj oczywiste: „Obiekt Zero” jest wywrotowcem, anarchistą i obrał sobie za cel obalenie naszego porządku...

– Macie nas za polityków, więc przemawiacie w ten pozbawiony wyrazistości sposób. Dobieracie miękkie, acz oczywiste słowa. Są puste, agencyjne. Bezwartościowe. Chcemy prawdy, analizy, waszych wniosków, nie mydlenia oczu... Powiedzcie nam coś, czego nie wiemy...

Brion Kroeger odetchnął. Uniósł prawą brew.

– Uważamy – rozpoczął wyjaśnienia – że „Obiekt Zero” umiejętnie wyznaczył sobie wrogów. Pracował nad tym dłuższy czas, doskonale się przygotowywał. Jednym z jego celów jest faktyczne uszkodzenie systemu, pewna ilość zmian, które jest w stanie wywołać. Działa wedle planu. Uderzał w nas, jako organy państwa, w polityków, osoby publiczne, ale i w struktury wojskowe. Vendaryjska armia to jego drugi wróg, zaraz po nas. Jest i trzeci, choć tutaj akurat musiałbym posiłkować się własnymi teoriami, które nie do końca pokrywają się z oficjalnym stanowiskiem Agencji.

Wysoki mówca Laurent Biehl skinął przyzwalająco. Kroeger kontynuował:

– Wydaje się, że Zamaskowani mają przeświadczenie jakoby istniał ukryty wróg, pierwotny, który jest, pozwolę sobie zacytować z pamięci: „o wiele gorszym niż vendaryjskie państwo”. To coś mistycznego, zakazanego, trudnego do uchwycenia i ogarnięcia umysłem, a co za tym idzie, trudnego do udowodnienia.

Wysoki mówca poprawił się na fotelu, odginając oparcie.

- Żądamy dowodów - mruknął. - W innym przypadku, komisja nie będzie zajmowała się tą opcją. Agencje?

- Nie posiadamy takowych.

- Więc nie traćmy czasu, a co za tym idzie, pieniędzy. - Biehl spojrzął na ławę zajmowaną przez grupę rejestratorek. Gdy jego wzrok, przez sekundę, spoczął na Verze, prawie zemdląła. Zadygotała, ale wysoki mówca chyba tego nie dostrzegł, mówił beznamiętnie:

- Należy zanotować i podkreślić, iż pomimo całych pięciu lat pracy, grupa specjalna „Zwierciadło-1” nie zdołała zgoła jasno określić celu działania rozpracowywanego wroga. To karygodne i będziemy wnioskować o konsekwencje.

Vera oddychała miarowo, posłusznie wstukując kolejne litery, ukradkiem spoglądała na pozostałe dziewczyny. Na ich twarzach próżno było szukać jakichkolwiek emocji. Czyżby tylko ona bała się tak mocno? „Och, jakież straszny człowiek...”.

Tymczasem Brion Kroeger milczał, świdrując wzrokiem swego rozmówcę. Doczekał się kolejnego pytania:

- Brak „celu”, więc pewnie trudno było wam określić, dlaczego do zebrania grupy Zamaskowanych doszło akurat w pięćdziesiątym dziewiątym? Przypominam, że interesują nas wyłącznie fakty podparte dowodami...

/Hotel „Monumentia”, Memoria, latem 59 r./

Daegorion wciągnął aromatyczny dym w płuca, odrzucił głowę i powoli, delectując się chwilą przyjemności, wypuścił go. Pod sufitem uformował się zielonkawy kształt, przywodzący na myśl baśniowego stwora.

„Nieeee, zaraz. Tylko, cholera, nie to”. Stworzenie zmieniło się, a może od początku nim było, w oblicze pieprzonego Kaspara.

Daegorion przewrócił oczami i warknął. Zrobił to na tyle głośno, że usłyszała go jedna ze ślicznotek. Przeciągnęła się zmysłowo w delikatnej błękitnej pościeli i mruknęła. Jej głos miał ten podniecający koci tembr, niski i miękki:

- Kochanie?

„Znów to robią”, Daegorion zadrwił w duchu. „Mogą to nazywać kochaniem, ale tak naprawdę i dla nich, i dla mnie to zwykła fizyczność. Pieprzone dziwki”.

Druga, brunetka otworzyła oczy i zatrzepotała rzęsami.

Daegorion zastanowił się jednak i zreflektował. Faktycznie nie płacił żadnej z nich. Każda dziewczyna, zwłaszcza te z filmowej branży, oddałyby wiele, w tym swoją niewinność, za możliwość przebywania z Dae Underhillem w dwuznacznej sytuacji – najlepiej, jeśli ktoś mógłby to później opisać lub co najmniej o tym opowiedzieć. Tak to już było. Tradycyjna i wychwalana cnotliwość młodych vendaryjskich kobiet pierzchała przed sławą związaną z „dymaniem” syna jednego z najbogatszych Vendaryjczyków.

„Poprawka, a właściwie dwie”, Daegorion uśmiechnął się półgębkiem i spojrzał w kierunku łoża. Obydwie dziewczyny przyglądały mu się teraz, prężąc się leniwie i prezentując swoje wdzięki. „Raz, Dae Underhill dawał się dymać tylko wybranym ślicznotkom, a dwa, Dae Underhill był teraz, od co najmniej kilku godzin, jedynym właścicielem Kompanii Underhillów”.

Odwrócił wzrok i spojrzał przed siebie przez panoramiczne okno hotelowego pokoju. Dlaczegoż Kaspar, jego cholerny ojciec, zażyczył sobie, by odczytanie testamentu odbyło się na Północy? Zimnej, posępnej i tak odmiennej od ich Południa?

„Pieprzona Memoria”. Daegorion patrzył na nocne miasto, rozświetlone przez przymglone kwadraty, prostokąty i kółka, ale nadal mroczne i obce.

– Pieprzony Kaspar – szepnął przez zaciśnięte wargi, odruchowo zwijając dłonie w pięści.

– Chodź do nas, Dae – mruknęła któraś z dziewczyn.

Zignorował prośbę. Zgasił papierosa, przeszedł wolno przez środek pokoju, przy barku nalał sobie ciemnoczerwonego wina. Wcześniej nawet nie zwrócił uwagi na wystrój apartamentu – teraz leniwie wodził wzrokiem po ekskluzywnym wnętrzu.

– Co to jest, Dae?

Spojrzał w kierunku łoża. Jedna ze ślicznotek, blondynka z burzą loków, leżała na plecach, w dłoniach obracała białą, cholerną „pełną szóstkę”, część testamentu, żart z za grobu.

Daegorion opuścił powieki, upił łyk słodkiego wina, wydał wargi i odezwał się najspokojniej, jak potrafił. Drwił i smucił się nieco, ale powiedział prawdę:

- To pamiątka po moim ojcu, po jego pasjach, problemach i sposobach na przetrwanie. To szarada, ale niech mnie cholera, nie zamierzam jej rozgryzać.

- To bila - zauważyła niesamowicie przenikliwie brunetka, mrużąc niezmiennie kocim głosem.

„To znak. Uosobienie pokuty”.

Daegorion zamrugał i spojrzał na ślicznotki. Brunetka, leżąc na brzuchu, opierała się na łokciach i machała długimi, kształtnymi nogami. Blondynka nadal przyglądała się kuli.

- Co mówiliście?

- Lilly zauważyła oczywisty fakt - szepnęła złośliwie blondynka.

- Bardzo śmieszne. - Brunetka uszczypnęła jasnowłosą. Obie zachichotały.

- Nie. To o „pokucie”.

Ślicznotki spojrzały ze zdziwieniem.

- Kochanie? Dobrze się czujesz? Może potrzebujesz... Mmm...

„A pokuta, cholerna suka, ma tę przekłątą właściwość, że potrafi stać się częścią spadku”, szepnął Głos wewnątrz głowy Daegoriona. Włosy zjeżyły mu się na karku. Przełknął przeraźliwie słodką ślinę.

- Rzuć mi ją - zdołał wychrypieć nienaturalnym głosem, wyciągając dłoń w kierunku łoża.

Blondynka spojrzała na niego, wciąż trzymając kulę nad głową.

- Daj mi tę cholerną „szóstkę” - warknął. Ślicznotki poszarzały na twarzach i przytuliły się do siebie. Blondynka niezdarnie wypuściła bilę na pościel, kula sturlała się na podłogę, na gruby, miękki dywan.

Daegorion zrobił trzy kroki, schylił się i podniósł swoją własność.

„Gniewaj się, a jakże, bij w skorupę, niszczył iluzję. Odzyskaj mózg”.

Spojrzał na bilę, na żółtą wytartą cyfrę na czerwonym tle. Uniósł ją na wysokość oczu. Ruszył w kierunku balkonu.

- Dae? - W głosie brunetki nie było już miękkości, jedynie niepokój i narastające przerażenie. - Co się dzieje?

Otworzył drzwi, do apartamentu wtargnął silny zimny wiatr znad zatoki. Kilka serwetek, poderwanych podmuchem, zawirowało w powietrzu.

„Twój ojciec nie zdołał dokończyć tego, co rozpoczął”. Głos dudnił wewnątrz czaszki Daegoriona. Czas zwolnił swój bieg, firanki i zasłony łopotały teraz w ślimaczym tempie, nienaturalnie, mistycznie.

– Nie pojmuję – szepnął Daegorion. Trzymał kulę w rozedrganej dłoni.
„Kaspar Underhill rozumiał. Ale nie potrafił. Nie zdążył”. Bila rozjarzyła się czerwonym światłem, błysnęła, zakwitła żółtym niby-płomieniem.

„Ty będziesz musiał odpokutować”, syknął Głos. „Znana ci rzeczywistość nie jest tą właściwą, nie jest Prawdą. Nie żyjesz. Snujesz się pośród cieni dawnej chwały, nie jesteś godzien tego Daru, ale postanowiono... Odzyskaj swój mózg, Żywy Trupie, odzyskaj, chwyć w zaciśniętą pięść i cholernie mocno go trzymaj. Jest twój!”

Wtedy czas przyspieszył, Daegorion Underhill zadrżał, a światło i żar bijące od kuli rozerwały jego ciało na miliardy drobniutkich cząsteczek.

***/Rezydencja Rogera Blake'a, Memoria,
latem 59 r./***

Roger Blake przepłukał gardło derhitańskim trunkiem, smakując jego wyjątkową korzenną nutę. Uśmiechnął się szeroko, zamykając oczy. Z błogiego stanu wyrwał go dzwonek telefonu. Starzec sięgnął po słuchawkę, drugą dłonią bawiąc się kieliszkiem.

– Przed kwadransem doszło do wybuchu w hotelu „Monumentia”. – Głos należał do Graema Jonesa, człowieka odpowiedzialnego za kontakty ze Strażą. – Czy chciałby pan odsłuchać oficjalne komunikaty?

Blake uniósł powieki, mrugnął i w jednej chwili pokój wypełnił się widmowymi Kartami Myśli. Starzec zwał je także niekiedy Kartami Wróżb, jeśli akurat wszystko toczyło się zgodnie z planami. Leżały tam, lewitowały, krążyły wokół biurka, przenikały przez meble, jarząc się bladobłękitnym światłem. „Umysł to forteca”, mawiali nauczyciele. „Umysł to najpotężniejszy oręż, zwierciadło i sakwa z odpowiedziami, dla umysłu nie istnieją czas, przestrzeń, dobro i zło”.

– Nie – odparł Blake, spoglądając na Karty, obracając nimi i wczytując się w ich treść. Układał je systematycznie, budując obraz, poszukując rozwiązań i możliwości. – Ale możesz, drogi Jonesie, udzielić mi kilku podstawowych informacji.

– Panie?

- Liczba ofiar?

W słuchawce na moment zapadła cisza. Jones odezwał się w końcu:

- Nie są pewni, rozmiary eksplozji są ogromne, zniszczeniu uległy cztery ostatnie kondygnacje. Na pewno pół tuzina. Może około dziesięciu.

- Ostatnie piętro, jak mniemam, zajmowały najlepsze apartamenty?

- Istotnie. Od tygodnia „królewski” wynajmowała rodzina...

- Wiem o pogrzebie – mruknął Blake. – Wiem o dziedzictwie. Czy Daegorion jest wymieniany wśród ofiar?

- Hm... – Jones znów umilkł na moment. – Daegorion Underhill znajduje się w szpitalu, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Sanitariusze Straży wspominali o poważnych poparzeniach, lecz raport jest niejasny.

Blake spojrzął na Karty, przybliżył sześć z nich, przekrzywił głowę, pstryknął palcami i wizja odeszła. W pokoju znów zapanował półmrok.

- Panie? – W głosie Jonesa zabrzmiała nuta zaniepokojenia.

- Już wszystko jasne, mój drogi – uspokoił go Blake. – Byłbyś tak miły i połączył mnie z redakcją „Strażnika Memorii”?

- Oczywiście. Kłaniam się. Dobrej nocy, panie Blake.

W słuchawce trzasnęło, zaszumiało. Po niedługiej chwili odezwała się kobieta:

- Dobry wieczór. Redakcja. W czym mogę służyć?

- Miła damo – odezwał się Blake. – Chciałbym rozmawiać z waszym redaktorem Friedrichem Kasslichem.

- Oczywiście, proszę czekać – odparła kobieta uprzejmym głosem. Zaraz jednak, już nieco inaczej, z zakłopotaniem, dodała: – Ależ, nie ma u nas takiego redaktora, panie...

- Blake. Roger Blake. – Kobieta westchnęła, gdy dotarło do niej z kim rozmawia. Starzec zawsze czuł się tym rozbawiony. Imiona od zarania dziejów miały swoją moc, wiedział to doskonale, ale w obecnych czasach miast magii znaczenie nadawały im pieniądze. – I zapewniam panią, pan Kasslich właśnie zaczął u was pracować, mam nadzieję, że będziecie mieli z niego pociechę. Proszę spróbować raz jeszcze.

Minutę później w słuchawce zabrzmiał już męski głos:

- Fred Kasslich, słucham?

- Roger Blake. Mam dla pana niezwykle ciekawy temat.

- Drogi panie – westchnął mężczyzna. – Dopiero zdołałem się rozpakować. Zaczynam od nowego tygodnia...

– Proszę mi zaufać, to nie może czekać, a sprawa jest wielowątkowa i, używając waszej terminologii, „rozwojowa”. Na pewno pana zaciekaw. To taki dobry start w nowym miejscu.

Mężczyzna po drugiej stronie milczał.

– Nie mam pojęcia dlaczego pan to robi, panie Blake – zaczął, a nazwisko starca w ustach Kasslich'a zabrzmiało zwyczajnie. Cóż, Kasslich przybył do Memorii niedawno, a w samej Vendarii nie był ostatnimi laty zbyt często. Blake, póki co, był dla niego zwykłym rozmówcą.

– Proszę zająć się sprawą wybuchu w „Monumentii”, ktoś skontaktuje się z panem, przekaże dokumenty i moje wnioski.

– To tak nie działa. – W głosie Kasslich'a pojawiło się zdenerwowanie. – Nie może pan...

– Przy okazji – przerwał mu starzec. – Czy rękawiczki, które wysłałem, pasują?

Kasslich wciągnął powietrze. Roger Blake wykorzystał ten moment i położył swoją dłoń na widełkach, przerywając połączenie. Zamknął oczy, dopił korzenne wino i uśmiechnął się szeroko.

***/Posiedzenie komisji senackiej ds. tajnych służb,
Nowe Patras, 12. 10. 63 r./***

W sali zapadła cisza. Po kilku sekundach przerwał ją głos Briona Kroegera.

– Nie potrafię wyjaśnić, czemu akurat wtedy. – Verze wydawało się, jakby agent był pogodzony z losem i nie zamierzał się bronić.

– Proszę się ratować. – Po ustach wysokiego mówcy zaczął błąkać się delikatny, drwiący uśmiech. – Niech pan opowie nam o dniu dzisiejszym, o tym, co wiadome; o Zamaskowanych. Kryją się w cieniu niedopowiedzeń i mistyki, czy zdołaliście ich w końcu chociażby policzyć? Przypominam, że walczy pan o budżet na bieżące działania... oraz o obronę dobrego imienia, własnego i, nade wszystko, Agencji.

– Sęk w tym, szanowny panie, że oni faktycznie „ocierają” się o sferę, jak pan to ujął „mystyki”. Ich zdolności wykraczają poza ramy logicznego

pojmowania, w ich działaniach próżno szukać sensu – nie zdołamy ich wyjaśnić, zrozumieć, jeśli nie spojrzymy szerzej...

Laurent Biehl odpowiedział, w jego głosie zabrzmiał pouczający ton:

– Mistyka została obłożona zakazem, tak zwana Magia została zabroniona, nie próbujemy zaglądać w otchłań, gdyż może nas pochłoniąć... Vendaria jest silna, rozegramy tę batalię na naszych własnych zasadach, i wygramy ją, jestem pewien. – Machnął ręką, jakby od niechcenia. – Prosiłem o opis aktualnej sytuacji...

Brion Kroeger lekko zmrużył oczy. Zaczął mówić, rzeczowo i beznamiętnie:

– W naszej bazie danych figuruje sześć podstawowych obiektów. „Zerem” oznaczyliśmy Burzomysła, mentora, lidera i najprawdopodobniej osobę odpowiedzialną za finansowe zaplecze grupy. Pozostałych określiliśmy jako „wojowników”. Posiadają przedmioty zakazane przez prawo i potrafią z nich korzystać, co daje im nadnaturalne zdolności. „Obiekt Pierwszy” to Tarczownik, posiadający dostęp do „A-33”. „Obiekt Drugi” korzysta z „A-42”, używa pseudonimu Jeździec Burzy. Kolejny to Zjawa lub Pan Upiór, nasze oznaczenie to „Obiekt Trzeci”, posiada Całun – agent zająknął się i poprawił – czyli „A-55”. „Obiekt Czwarty” nazywany jest Kamiennorękim, łączony jest z przedmiotem oznaczonym jako „A-57”, a ostatni z nich to „Obiekt Piąty” – Wesoły Pokutnik. Dzierży jeden z najpotężniejszych – „A-63”.

– Cyrk – wyrwało się wysokiemu mówcy, jakby mimowolnie. Natychmiast przywołał na usta coś na kształt parodii uśmiechu. – Jeśli się nie mylę, to naszej drogiej, memoriańskiej prasie zawdzięczamy te barwne miana, nieprawdaż?

– Owszem, tak o nich piszą – potaknął Kroeger. – I ulicy... – dodał. – Ludzie ich tak nazywają, głównie proletariat.

– Użył pan określenia „podstawowe objekty”...

– Namierzyliśmy jeszcze trzy osoby, niezwiązane w bezpośredni sposób z grupą Burzomysła, ale możemy je zaliczyć do interesujących nas... zjawisk. To młoda kobieta, nienazwana, brak wzmianek w prasie na jej temat; oznaczyliśmy ją jako „Obiekt Dwadzieścia Jeden”; używa pewnego rodzaju ostrza, w naszej nomenklaturze: „A-113”. Następnie „Obiekt Zero Zero Dwa”, tutaj ustaliliśmy tożsamość, to Ebenezer Lynchee, władający przedmiotem „A-77”. I na koniec „Obiekt Dwadzieścia Dwa”, zbiegły kryminalista, Saul Brodsky, posiadający dostęp do „A-123”.

Wysoki mówca położył palec na ustach, następnie skierował go w stronę agenta i rzekł:

- Te numery... kolejność jest zastanawiająca... Istnieje jakiś system?

- Podejrzewamy, posiłkując się treściami historycznymi, że w każdej chwili mogą ujawnić się następni - odparł Brion. - Ale prosił pan o niedzielenie się domysłami.

- Istotnie, prosiłem. - Wysoki mówca zerknął do rozłożonych przed nim papierów. - Teraz... zechciałby pan pochwalić się bieżącymi operacjami? Zadeklarowane koszty są naprawdę spore... Te liczby, poparte jedynie „mystyką”, raczej nie mają szansy się obronić...

- Trzy operacje podlegają bezpośrednio prezydentowi, więc nie mogę o nich mówić, wolno mi zdradzić tyle, że prowadzone są na terytorium Sojuszu Vendaryjskiego. - Vera dostrzegła grymas niezadowolenia na twarzy Laurenta Biehla; słuchając agenta, wysoki mówca nerwowo przeglądał dokumenty. - Jedyna, na temat której mogę się wypowiedzieć przed komisją, prowadzona od ośmiu miesięcy, o kryptonimie „Sztafeta”, ma na celu zlokalizowanie „Obiektu Zero Zero Dwa”, czyli Ebenezera Lynchee. Prowadzimy działania, zbliżamy się do ich zakończenia...

- To kpina - warknął wysoki mówca. Był wściekły, być może przez swoją bezsilność. Vera zagryzła wargi. Cóż teraz? - Nie macie wyników, zasłaniacie się tajemnicami, bładzicie po omacku, a żądacie olbrzymich kwot. To oczywista kpina.

Brion Kroeger milczał i patrzył; lustrował wzrokiem całą komisję, trzech cichych, wyglądających prawie identycznie, beznamiętnie spoglądających mężczyzn i zwalistego, przerażającego Laurenta Biehla.

Wysoki mówca zebrał leżące przed nim dokumenty i, nie spiesząc się, bardzo dokładnie ułożył je w brązowej teczce. W całej sali panowała niczym niezmacona cisza. Vera rozglądnęła się nerwowo.

- Zarządzamy przerwę - przemówił wysoki mówca. - Dość usłyszeliśmy. Termin kolejnego przesłuchania zostanie ogłoszony w ciągu trzech dni.

Vera Hagenkreutz mrugnęła. „Dość?”. Odetchnęła z ulgą, spojrzała na zawieszony pod sufitem zegar, zastanawiając się gdzie podziała się ostatnia godzina. Zaledwie godzina i aż... Zwykle tego rodzaju przesłuchania trwały o wiele dłużej, ale akurat w tym przypadku cieszył ją pośpiech. Nie będzie musiała dłużej oglądać podłej sylwetki Laurenta Biehla, nie będzie musiała słuchać jego straszliwego głosu.

Wyrwała się z zamyślenia i powiodła wzrokiem po sali. Ludzie zaczęli się już rozchodzić. Z tęsknotą poszukiwała obiektu swoich westchnień, ale agenta specjalnego Briona Kroegera już nie było.

„Och. Żegnaj śnie, witaj szara rzeczywistości”.

Brion obserwował służącego. Czarnoskóry mężczyzna w gustownym uniformie z uwagą nalewał wino. Gdy skończył, zgiął się w sztywnym ukłonie i sprężystym krokiem wyszedł z pokoju. Agent sięgnął po kieliszek i przysiadł na skraju skórzanego krzesła. Nim zdołał uraczyć się aromatem trunku, do pomieszczenia wkroczył wysoki mówca. Skinął Brionowi, chwycił drugi kieliszek, upił łyk i także znalazł sobie miejsce. Rozparł się w głębokim fotelu. Cisza panująca w pokoju aż kłuła w uszy.

– Dziękuję za to spotkanie – odezwał się mówca.

– Chciałbym móc odpowiedzieć tym samym – mruknął Brion – lecz nie jestem nawet pewien, czy wolno nam rozmawiać... W jakim charakterze...

– Wolno nam wszystko, gdy ważą się losy Vendarii – przerwał mu Biehl.

„Hmm, drogi mówco, jakże fortunnie się składa, że myślimy podobnie”. Agent wiedział, że nie może tego powiedzieć na głos.

– Jak mogę pomóc?

– Niech pan spróbuje mnie przekonać.

– Bez stenogramów, nasza rozmowa będzie warta tyle, co powietrze.

Zna pan to powiedzenie...

– „Garść Dymu” – znów przerwał mu wysoki mówca. – Znam powiedzenie, znam tę bajkę. Nawet słowa rzucone na wiatr mogą posiadać wartość. Wszystko jest względne.

Brion postanowił nie ukrywać poirytowania. Odezwał się ze zniecierpliwieniem w głosie:

– Przejdziemy do konkretów?

Biehl milczał przez moment.

– Chcę otrzymać dostęp do planów prezydenckich operacji. Potrzebuję tej wiedzy.

„Ale tupet. A może...”

– Ja potrzebuję funduszy – rzekł Brion, mrużąc oczy. – Chcę natomiast wiedzieć, dlaczego w ostatniej chwili zmieniono urzędnika. Dlaczego zamiast przed Den Mulischem odpowiadałem przed panem...

Do nozdrzy agenta dobiegł charakterystyczny zapach. Zadrżał. Znał go. Rozpoznawał także delikatny, prawie niewyczuwalny spadek temperatury.

„Nie może być...”

– Chcę otrzymać dostęp do planów prezydenckich operacji. Potrzebuję tej wiedzy.

Dokładnie te same słowa. Wysoki mówca powtórzył je, nawet tembr głosu się zgadzał.

„Zakłęcie. Psiakrew”.

Brion nakazał samemu sobie spokój, rozluźnił mięśnie, sekundę wcześniej gotowe do reakcji. Odetchnął. Postanowił.

„Więc grajmy”.

Wysoki mówca uniósł brwi. Agent przekrzywił głowę i lekko się uśmiechnął. Puścił do niego oko, jednocześnie wykrzywiając ku górze kącik ust. Wyraźnie i głośno cmoknął.

– Powtórzysz to po raz kolejny, czy po prostu porozmawiamy? Nazywają to chyba „otwartymi kartami”, czy jakoś tak...

Laurent Biehl, czy kimkolwiek był otyły mężczyzna, milczał.

– W pokoju obok mam swoich ludzi – odezwał się Brion. – Nie zdołasz ujść...

– Cóż to byłby za skandal, Vendaryska Agencja Bezpieczeństwa wyprowadzająca wysokiego mówcę w kajdanach, prosto z budynku Vendaryjskiego Senatu...

Brion potarł palcem wskazującym o kciuk. Mrugnął.

– Kim jesteś?

– Przecież wiesz, wszak jesteś specjalistą, badaczem przeszłości...

– Burzomysł. – Agent pokiwał głową. – A ten tutaj, to prawdziwy Laurent Biehl. Więc, jak „daleko” jesteś?

– Poza twoim zasięgiem – wychrypiał grubas.

– Nareszcie mogę odpowiedzieć tym samym.

– Powiesz mi, jak tego dokonałeś? „Otwarte karty”, hmm...

Brion uśmiechnął się. Wiedział, że był to prawdziwie paskudny grymas.

– Jeśli ci powiem, następnym razem lepiej się przygotujesz, i nasze spotkanie może nie przebiec po mojej myśli... Jednakże, musisz wiedzieć, że twoja, wasza, potężna Magia ma swoje ograniczenia. Czary można

przełamać, zaklęcia rozproszyć, nie jesteście wszechmocni. Może kiedyś... ale nie dziś. Już nie... To, po prostu, nie wasza era...

Laurent Biehl dokończył wino. Kontrolujący go człowiek nakazał mu pocierać końcówkami palców potrójny podbródek, narzucił mu na twarz wyraz pełen zadumy.

– Nie widzisz pełnego obrazu, albo widzisz go, ale nie chcesz dopuścić do siebie prawdy, może nie potrafisz go odpowiednio zinterpretować. Trwa wojna...

– Fakt, mordujecie nam ludzi, funkcjonariuszy, żołnierzy...

Grubas parsknął, kręcąc głową.

– Trwa wojna, jak powiedziałem. I z żalem muszę przyznać, że nie wygrywamy starcia za starciem. A potyczki z wami tylko rozpraszają naszą uwagę. Pora to skończyć...

Brion zagryzł dolną wargę.

– Zmierzasz do czegoś? Czy po prostu marnujesz mój czas?

Laurent Biehl położył palec na przycisku komunikatora stojącego na biurku. Miły kobiecy głos przemówił z głośnika ustawionego obok:

– Tak?

– Droga Klaro, proszę wezwać strażników do mojego gabinetu.

Agent pokręcił głową.

– Nie rozumiem, co próbujesz zrobić, co chcesz mi udowodnić...

Wysoki mówca sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął wieczne pióro. Odkręcił skuwkę.

– Pokażę ci wroga. Tego prawdziwego, reprezentującego mroczne siły. Poproś o notatki wysokiego mówcy, które sporządzał w ciągu ostatniej doby. Tam jest wszystko, włącznie z moimi uwagami i komentarzami. Dokumenty znajdziesz bez problemów... Powinniście mieć do nich dostęp jako śledczy... Wszak chodzi o morderstwo...

Agent mrugnął, włosy zjeżyły mu się na karku, mięśnie spięły się w jednej chwili. Skoczył.

Wysoki mówca wbił sobie pióro w oczodół, głęboko, aż po sam koniec. Gdy Brion znalazł się tuż obok, ciało Laurenta Biehla zwiotczało i bezwładnie zważyło się na podłogę. Już tam, na grubym, zielonkawym dywanie zaczęło konwulsyjnie drżeć.

Drzwi otwały się. Na progu stanęli dwaj mężczyźni w uniformach senackiej straży. Brion Kroeger spuścił głowę i zaklął.

/Posiadłość Laurenta Biehla, Nowe Patras,

13. 10. 63 r./

Cornelissen poprawił kołnierz palta. Patras o tej porze roku nie powinno być tak wietrzne i deszczowe. Miał nadzieję, że tygodniowy wypad do stolicy pozwoli mu zapomnieć o memoryjskiej aurze. Okazało się, że wprost z Memorii przywieźli pogodę. I nie tylko. Przywieźli bałagan. I to akurat słowo można było określić mianem delikatnego sformułowania. Stali na podjeździe, ekipy śledczych pakowały materiał dowodowy do ciężarówek. Brion palił, nerwowo zaciągał się i niechlujnie wydmuchiwał dym. I cały czas mówił:

– Biehl prowadził podwójne życie, skurwieli był „umoczony” jak cholera. Czarna magia, okultyzm, symbole bóstw sprzed Czarnej Wojny... Nie wiem, jak długo uda nam się to utrzymać w tajemnicy. Tym kretynom z Komisji Propagandy też, zdaje się, niezbyt można ufać.

– Jesteś zły?

– Wściekły jestem – warknął Brion. – Prawie udało im się mnie podejść. Pieprzony Burzomysł... Całe szczęście, że zaryzykowaliśmy...

– Nadal nie mogę uwierzyć, że zdecydowałeś się wypić to cholerstwo. Zadziałało. Ale, z drugiej strony, pomyśl Bri – Cornelissen zadumał się – gdyby nie on, Biehl prowadziłyby swoje „podwójne życie”...

– Próbujesz mi zasugerować, że Burzomysł nam pomógł? Drań chciał przejąć nade mną kontrolę, i postanowił, niejako dla żartu, narobić nam zamieszania; „samobójstwo wysokiego mówcy, we własnym gabinecie, w obecności rządowego agenta”... Teraz jest po naszej stronie?

Cornelissen uniósł dłonie w obronnym geście.

– Jestem daleki od takiego, prostego stawiania sprawy...

Brion zagryzł zęby.

– Wystawił nam Legion. „Nowy Legion”. Nareszcie mamy sporo danych, jakiś punkt zaczepienia. To wszystko łączy się ze sobą. Drzewołek rozpoznał symbole, podobne znaleźliśmy w domu Biehla. „Nowy Legion”. To spiszek pieprzonych „mrocznych sił”. Przynajmniej tak właśnie Burzomysł chciałby żebyśmy myśleli. Tak, czy inaczej, musimy zacząć

działać. Tu w Vendarii, ale i na Kontynencie. Uruchomimy wszystkich. To arcytrudne, ale wykonalne.

- A Zamaskowani? Kim są dla nas w tym momencie?

Brion dopalił papierosa, rzucił go na mokry beton i rozgniół butem. Odpowiedział:

- Jak się przed momentem wyraziłeś, mój drogi? To było celne... Właśnie tak. Bądźmy ostrożni i dalecy od „prostego” stawiania spraw...

szeptun.blogspot.com